

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

— Nie masz pan czego wykrzykiwać. Minęły już te burżujskie czasy, gdy kobiety wychowywano na gąski, na faryzeuszkę. Ja jestem człowiekiem, znam prawa natury i wielbię je...

— No, no, no!

— Pańskie no, no, no! i miny faryzeuszkowskiego oburzenia wcale mnie z tropu nie zbijają, żebyś pan wiedział. Ale wróćmy do rzeczy. Wszyscy wiedzą w całej okolicy o tem, że moja mama była... jakby to powiedzieć, żeby pańskiej burżujskiej obłudzie nie urazić... była żoną z lewej ręki nieboszczyka pana Teodora Kozłowskiego i ja jestem owocem tego związku.

Stanisław podparł ręką głowę i ciekawie przypatrywał się tej dziewczynie, nie liczącej więcej niż 18 lat, która zarumieniona, z oczami palającymi żarem uniesienia, z piersią falującą pod stanikiem, wygłaszała te słowa, że jest owocem nieprawego związku swej matki. Uśmiechnął się na te wyrazy i rzekł z lekkim odcieniem szyderskiego:

— Co prawda, owoc jest ładny, ale osobliwszy.

Zarumieniła się jeszcze mocniej i zawołała:

— Och, wcale mnie to nie obchodzi, co pan o mnie sądzi i zabraniam panu przemawiać do mnie burżujskimi komplementami...

— Ależ to nie jest komplement i co to ma za związek z burżuizmem, nie pojmuję. Dlatego, że mówię pani, iż jesteś ładna, to mam być zaraz burżujem?

— Nie jesteś pan burżujem, ale za to obrzydliwym samcem.

Stanisław roześmiał się głośno i zawołał:

— Słowo daję, że paradne! Dawno już tak się nie bawiłem.

I śmiał się i przypatrywał się dziewczynie, której w rzeczy samej z tym zapalem i ognistym uniesieniem było bardzo do twarzy. Na ostatnią uwagę młodego człowieka oburzyła się:

— Ja tu nie rozmawiam z panem, żeby go bawić, bo ja nie jestem dla zabawki wstrętnych samców, ale chcę wyjaśnić moje stanowisko w tym domu i moje prawa.

— Zdaje mi się, że one są bardzo wątpliwe.

— Naturalnie, jakżeby było inaczej? Dlatego, że według waszych burżujskich przepisów jakiś zatabaczony pała nie dał ślubu w kościele mej matce, dlatego ja jestem pozbawiona dziedzictwa po moim ojcu, ja, jedyne jego dziecko.

— Hm, przyznaję, że to są burżujskie przepisy, ale zdaje mi się, że kwestya dziedziczenia fortuny po ojcu także podług nowszych teorii pachnie burżuizmem. Skoro wszystko odrzucamy, to i to odrzucić należy.

Mówił to lekkim tonem, na pół szyderskim, który panna Aniela zauważyła i z gniewem zawołała:

— Proszę pana zaniechać tego tonu szyderskiego, który mi się wydaje wysoce nieprzyzwoitym i mówić ze mną poważnie. Nie siedzę tutaj, by z panem toczyć rozprawy o nowych teoriach, ale mówię o interesie.

Wyprostował się, przestał na nią patrzeć i rzekł:

— Dobrze, mówmy o interesie. Pani twierdzisz, że brak dokumentu ślubnego nie unicestwia prawa pani do dziedzictwa po moim stryju. Niestety! unicestwia je zupełnie. Takie jest prawo, złe, nie prze-czę, ale jest i ani ja, ani pani nic na to nie poradzimy. Pani możesz mieć tylko pretensję do swej mamy, że się tak niefortunnie urządziła, no... i do nieboszczyka stryja, że nie postarał się ulegalizować tego związku.

— Nie mam żadnych pretensji do mej mamy, nie mam jej wcale za złe, że uległa prawom natury, nie oglądając się na głupie, burżujskie prawa ludzkie. Kwestya ulegalizowania tego związku, jak to pan nazywasz, powinien być zająć się mój ojciec, a pański stryj. Moja mama nie mogła tego zrobić. Jest to kobieta wychowana w tradycjach średnio-wiecznych, obecny ustrój społeczny wydaje jej się doskonałością, a pożytyc swe z nieboszczykiem uważa za grzech, który odpokutować należy. Jednym słowem jest to wasza dawna kobieta — gęś, nic więcej, choć dobra i miła... Ona myśli nie o swych niezaprzeczonych prawach, ale o pokucie za to, że zadość uczyniła prawom natury, że się oddała sam-

cowi bez aprobaty księdza proboszcza. Doprawdy można pękać ze śmiechu...

— Hm! i pani, panno Aniela, tak mówisz o tych prawach natury, o oddaniu samcowi... pani — panna, a ja młody człowiek?

— Pan może chcesz, żebyśmy raczka spiekła? wiem, że się to podoba samcom, bo im się zawsze zdaje, że oni są wybrani, oni są pierwsi, a tymczasem zwykle mieli poprzedników...

— Osobliwość, słowo daję, osobliwość. I to wszystkie nowoczesne panny w Polsce są takie, jak pani, panno Aniela?

— Tego nie wiem, ale wiem, że takimi być powinny. Jest to jedyna droga pokazania wstrętnemu samcowi, że się wie, kto on jest i czego chce.

— A czegoż on chce? Radbym się dowiedzieć. Zarumieniła się po same białka oczu i zapewne wstydząc się tego rumienia, ona, kobieta-człowiek, odwróciła się i rzekła:

— To do rzeczy nie należy. Mówmy o interesie.

— Dobrze, mówmy o interesie. Cóż pani chce?

— Chcę i proszę pana, żebyś w razie, gdy mi mój ojciec nie zapisal, żebyś się wobec sukcesorów upomniał o to.

— Żebyś ja się upomniał?

— Tak! a może pan nie chcesz? Lękasz się uszczuplić swego spadku?

— Pani wiesz dobrze, że nie. Nie dbam o pieniądze, ale jakim prawem, z jakiego tytułu ja mam wystąpić z taką osobiłszą propozycją? A przytem nie znam wszystkich swoich krewnych, ale znam dobrze kupca Millera, męża ciotki Filomeny i jestem pewny, że grosza nie da sobie wydrzeć z przypadającej nań sukcesji.

— Mniejsza o to, skoro pan nie chcesz, to ja sama to zrobię.

— Pani to zrobisz? pani głośno powiesz, że jesteś córką... nieślubną mego stryja, że pani mama była jego...

— Nałożnicą... dokończ pan, nie wstydz się, bo ja się wcale nie wstydzę. Niema nałożnic wobec praw natury, są tylko kobiety, oddające się zgodnie z temi prawami mężczyźnie. Tak panie, ja to powiem, przy wszystkich waszych burżujach to powiem, ja, kobieta postępową, kobieta nową, kobieta przyszłości...

Chciała jeszcze coś mówić, gdy nagle na ścieżce ukazał się Orczykiewicz. Szedł śpiesznie, zadyszany i spocony mocno i ujrawszy pana Stanisława i pannenkę na werandzie, zdjął z głowy kapelusz i stanął, czekając na zapytanie.

— Co tam, Błażeju, czego chcecie?

— Mam paniczowi coś rzec.

— Cóż takiego, gadaj!

— Mogę to tylko paniczowi samemu powiedzieć.

— Odchodzę! — zawołała Aniela i zgarnawszy swą suknię, krokiem elastycznym wyszła z werandy w głąb mieszkania. Stanisław patrzył na nią, na jej figurkę zgrabną, ruchy elastyczne i pełne wdzięku niewieściego i westchnął żałośliwie.

III.

— Cóż mi powiesz, Błażeju? — zapytał pan Stanisław Orczykiewicz, gdy zgrabna figurka panny Anieli znikła w głębi mieszkania.

Błażej podrapał się po głowie, obejrzał dookoła i rzekł głosem przyciszonym:

— Możeby panicz zeszli do ogrodu, bo tu jeszcze kto usłysz.

— Tu niema nikogo.

— Ale i ściany mają uszy, niech panicz zejda!

Podniósł się Stanisław w milczeniu i ruszył za Błażem na wysypną żwirną i piaskiem ścieżkę i gdy odeszli od werandy tyle, że nikt nie mógł ich usłyszeć, Błażej począł opowiadać swą dzisiejszą przygodę poranną, jak wypędził owce na ugorzysko pod lasem, bo tam teraz urosła najlepsza w całych Górach macierzanka duszka i jak Wojtek odkrył w wypróchniałej dziupli starej wierzby kościotrupa.

Stanisław, który z początku dość obojętnie a nawet z pewną niechęcią słuchał opowiadania Błażeja, przypuszczając z góry, że go jakas sprawa gospodarską nudzić będzie, teraz okazał żywe zainteresowanie:

— Kościotrupa! co za kościotrupa? — pytał. Błażej obejrzał się z bliska i począł mówić szepem.

— Tak, kościotrupa, ale co on za jeden, bo wiem ja to? ale to pewne, że ten biedak pochodzi z tamtych czasów... panicz wiel... panicza wtedy jeszcze nie było na świecie, ale ja już byłem dorosłym parobkiem i pamiętam, jak na ugorzysku pod lasem, kole bagna i rzeczki... no... panicz wiedzą...

— Ale skądże się wziął ten kościotrup w dziupli starej wierzby? Rzecz niesłychana...

— Powiadam paniczowi, że to z tamtych czasów. Biedaczysko schronił się na wierzbę, bo przecie przed czterdziestu laty, ja sam pamiętam dobrze, nie była ona taka spróchniała, jak dziś i miała piękną koronę z liści. Ale może mu się wydawało, że to schronienie nie jest dość przepięczne, może też środek pnia, jako to wierzby gniją zawdy od środka, zawalił się pod nim, dość że wpadł do środka i już wydostać się stamtąd nie mógł i tak zamarił biedaczysko, chudzina nieszczęśliwa...

— Hm! Wszystko to mogło być, ale może też jest zwyczajna zbrodnia. Ktoś kogoś zamordował i dla zatarcia śladów trupa wsadził w pustą dziuplę starej wierzby. Trzeba o tem dać znać do wójta.

— Do wójta? a to po co? panicz myślą, że to zwyczajna zbrodnia, a ja pedam, że to z tamtych czasów...

— Skądże masz taką pewność?

— Bo tam jest karabin.

— Karabin?

— Tak — tu obejrzał się Błażej ostrożnie i szepem dodał — a w tych czasach niespokojnych karabin się przydać może, chociaż on to tam pewnikiem bez lat czterdziestu całkiem się zepsował. Ale przecie do wójta z tem chodzić nie należy. Tam przy tym nieboszczyku są może jakie papiery, po co mają o nich wiedzieć?

— Zapewne, ale cóż z tem zrobić? Przecież tego biedaka, co śmierć poniósł za ideę, tak pozostawić nie można. Należy mu się cichy spoczynek w tej ziemi, którą ukochał.

— To się wie, panie. To też nocką, jak wszyscy się pośpią, pójdziwa razem z paniczem na ugorzysko, wydobędziemy onego kościotrupa i uczciwie, po katolicku pochowamy.

— Ja mam z wami iść, Błażeju?

— A któż pójdzie? Ja sam przecie rady nijak nie dam, a nikomu o tem powiadać nie potra. Ludzie mają długie języki, jeszcze tera, kiedy różnego tałatajstwa, z przeproszeniem, namnożyło się, co ani Boga, ani wiary, ani tej świętej ziemi nie uczczą.

— O tak! Okropne czasy. Ale niktże nie wie o tem, prócz ciebie, Błażeju?

— Otóż to, bieda, że wie o tem Wojtek Ma-chierzyna. On, jako szelma, próżniak, wszędzie się kręci i myszkuje, właził hycel na wierzbę i onego kościotrupa znalazł.

— Wojtek? ne, to wszystko przepadło. Będzie gadał.

— On nic nie powie.

— Skądże masz taką pewność?

— Bom go zaklął i przysięgł mi, że pary z gęby nie puści.

— Bardzo to wątpliwe. Wojtek zna się z różnymi ludźmi, co się po wsi teraz waleją i ma przewrócone we łbie.

— A przecie zaprzysięgł.

— Co znaczy przysięga u takiego głupca ze łbem przewróconym.

— Nie! on nic nie powie.

— Bógby to dał. Ha, trudno. Pójdziemy w nocy i zobaczymy. Czekajże na mnie pod owczarnią. Jak się wszyscy pośpią, pójdziemy. Przygotuj sznury i łopaty. Osobliwsze zdarzenie! Bardzo mi to wszystko nie na rękę, bo tu, we dworze, ma być zjazd wielu osób, a przytem słyszałem, że tam, w lesie, odbywają się po nocach jakieś schadzki, jakieś narady.

Nuż nas zobaczą?

Orczykiewicz podrapał się po głowie z miną zakłopotaną i rzekł:

— Juścić może to być. Wiemci ja dobrze, że się złażą w lesie i Wojtek też tam bywa. Spramem hycła za to rzetelnie, ale co to pomoże?

— Czemu go trzymasz? dlaczego go nie wypędzisz na cztery wiatry?

— Mogę ja to? Nieboszczyk pan dziedzic przykazał go trzymać, a kiedym się skarżył, kazał go sprać i tyle. Sprać, spramem, a trzymać musiałem. Gadali też ludzie, a i mnie się coś ochapia, że ten Wojtek to... ale ja nic nie powiem i idę sobie...

— Czekajno! co ludzie gadają o Wojtku?

— Ej, nie godzi się powtarzać.

— Powtórz jednak.

— Chyba, że panicz przykazuje.

— Nie mam prawa ci przykazywać, tylko pro-szę. Trzeba przecie wiedzieć, jak się zachować, jeżeli Wojtek nas zdradzi.

— Zdradzić, to on nie zdradzi, przysięgł przecie, chocia słusznie panicz mówi, że takiemu hycłowi wierzyć nie można. Hycel-cię on, hycel, ale to zawdy bywa z takimi, z przeproszeniem, bękartami.

— To on bękart?